

Muzyka jest odskocznią

Piosenki rockowego podziemia lat 80. XX wieku, odgłosy z ulicznych demonstracji, zagłuszanie radia Wolna Europa i przechwycone milicyjne rozkazy. Z tego się składa najnowszy album grupy Big Cyc inspirowany wydarzeniami stanu wojennego. Krążek „Zadzwońcie po milicję!” łamie dotychczasowy wizerunek wiecznego zgrywusa, z którym większości z nas kojarzy się ten zespół. Z **Krzysztofem Skibą**, liderem Big Cyca, rozmawia **Marta Bigda**

Big Cyc jest znany z prześmiewczych kawałków. Skąd pomysł, żeby nagrać poważną płytę? To prawda, poprzez nasze piosenki zwykle ironicznie się uśmiechaliśmy. Tym razem postanowiliśmy pokazać inną minę. Jesteśmy z pokolenia stanu wojennego. Nagranie tej płyty było naszą wewnętrzną, emocjonalną potrzebą. W latach 80. popularne były takie zespoły, jak Lombard, Lady Pank czy Perfect. Ich piosenki były puszczane w radiu, plakaty dołączane do oficjalnych młodzieżowych pism, jak na przykład „Razem”. Obok tej oficjalnej sceny istniał dziś nieco zapomniany nurt podziemnego rocka, tworzony głównie przez zespoły z kręgu muzyki reggae i punk. Patrząc sobie teraz na te medale od Komorowskiego dla ludzi, którzy tworząc swoją muzykę, nie musieli się z tym specjalnie kryć. Nasza płyta przywraca proporcje i przypomina kapele z kręgu prawdziwego undergroundu stanu wojennego.

Ich piosenki docierały tylko do wtajemniczonych? Teraz, kiedy jednym wciśnięciem klawisza możemy przesyłać pliki mp3, trudno wyobrazić sobie, jak kiedyś rozpowszechnianie muzyki mogło być kłopotliwe. Używaliśmy kaset magnetofonowych, które były dość wdzierane nośnikami dźwięku... nie biorąc pod uwagę, że dwudziesta kopia z rzędu nieco już rzeźbiła. Nagrywało się kasety na próbach zespołów, na małych koncertach w klubach studenckich. Okładki kopiowało się na ksero albo sitodrukiem. Pamiętam nawet, że swojego podwójnego magnetofonu tak przegrzywania używałem tak długo, aż się rozpadł. I to właśnie z takich kopii korzystaliśmy przy tworzeniu naszej płyty.

Z jakiego powodu wybraliście mało znane nagrania? Pomyślałem, że nagranie piosenek KSU, Dezertera czy WC będzie pójściem na łatwiznę

– przecież te zespoły nadal prężnie działają i same zajmują się nowymi aranżacjami swoich kawałków. Postanowiliśmy poszukać głębiej. Powyciągaliśmy stare nagrania z szaf swoich, znajomych i znajomych znajomych. Nasza płyta „Zadzwońcie po milicję!” przypomina zaginiony, podziemny nurt muzyki lat 80. Opisywał on rzeczywistość, w której była cenzura, puste półki w sklepach, za oknem stał czołg, a w telewizji pysznił się generał. Dla młodych to ciekawostka, dla naszego pokolenia – rodzaj sentymentalnej podróży.

Na swojej płycie wykorzystaliście głównie piosenki Miki Mousoleum. Dlaczego?

Byłem przekonany, że do końca życia będę gnił w sowieckim baraku

Miki to legenda podziemia. Zawsze darzyłem ich wielkim szacunkiem i przegrywałem ich kasety za młodu. To właśnie z albumu „Wieczór Wrocławia”, który nielegalnie rozpowszechniałem, pochodzą piosenki „Zomo na Legnickiej” i „Ruski keczap”. Zorganizowałem nawet Mikiemu koncert w Łodzi w 1987, w klubie studenckim. Niestety, teraz zespół nie istnieje, a lider pracuje poza branżą muzyczną.

Czy klimat płyty jest odzwierciedleniem Waszych wspomnień? Piosenka „Nasz PRL” wydaje się być odpowiedzią twierdzącą. Pokazaliśmy, że Big Cyc potrafi zagrać na innych nutach. Polakom trudno jest zdystansować się do swojej historii. My chcieliśmy odkryć tę stronę PRL-owskiego patriotyzmu, którą pamiętamy, a która nie opierała się na mszach, rozdawaniu wieńców i rozdzieraniu szat.

Dlaczego Jacek Kaczmarski czy Przemysław Gintrowski

przyjęli się lepiej niż punkowe zespoły? Myślę, że nie w takich kategoriach należy to rozpatrywać. Oni grali dla innej publiczności. Byli oficjalnymi bardami Solidarności. Kaczmarski, z całym szacunkiem dla niego, ze swoimi nylonowymi strunami, swetrem i brodą lepiej pasował do solidarnościowej konserwatywnej estetyki niż muzyka rockowa. Punk rock grał młodym, dla których był namiastką wolności. Wtedy nie było przecież internetu, 200 kanałów telewizyjnych i radiowych. Media wypełnione po brzegi kłamstwem nie stanowiły czegoś interesującego dla młodzieży. Muzyka dawała odskocznię. A byli przecież i tacy, którzy najchętniej słuchali Krawczyka w oficjalnym paśmie nadawania. Jednym i drugim muzyka punkrockowa wydawała się czymś podejrzanym, co mogłoby zachwiać ich wartościami. Z kolei punk rock, wrogi systemowi, również sceptycznie odnosił się do Solidarności. Tak naprawdę, grając rocka, tworzyliśmy trzeci obieg.

Jednym słowem, oficjalna popularność nie była dobrze odbierana przez punkrockowców. To był obciach. Jeśli jakiś zespół za często ukazywał się w radiu czy telewizji, nie był mile widziany dla przykładu na festiwalu w Jarocinie. Nie wszystkie zespoły stamtąd były buntownicze, ale najważniejsze było to, że nie współpracowały z wrogiem. Rock w telewizji oficjalnie pokazał się dopiero pod koniec lat 80., gdy system już powoli gnił. Wcześniej ktoś często pokazywany w mediach automatycznie był uznawany za kolaboranta.

Czy przypadkiem nie łatwiej jest działać w czasach, w których jasny jest podział między dobrymi a złymi i wiadomo, przeciwko komu pisać buntownicze piosenki? To były czarno-białe czasy, a wróg nas zjednoczył. Teraz podziały są rozmydlone. Ale kto obiecywał, że wolność będzie prosta? W demokracji jesteśmy zmuszeni do dokony-



Krzysztof Skiba

FOT. TOMASZ BOLT

wania wyborów, lecz lepszego systemu nie wymyślono. W czasach zamordyzmu jednak trudniej jest żyć. Ciągłe trzeba stawiać opór tyranowi i nie dać się zniewolić. Oczywiście, wolnym można być i w więzieniu, przecież wolność to stan ducha. To właśnie staraliśmy się pokazać – jak być wolnym w niewoli. Gdy trafiłem do więzienia, choć fizycznie byłem uwięziony, odmawiałem składania zeznań i współpracy z esbekami. I to czyniło mnie wolnym.

Jednak w naturze młodych nadal tkwi potrzeba buntu. Dzisiejsza młodzież buntuje się przeciwko zalewającej nas komercji, przeciwko promocjom w supermarketach. Mają swoje racje, ale przecież my walczyliśmy o te hipermarkety, żeby było tak, jak na Zachodzie. Oczywiście, przydałoby się w Polsce mniej afer i trochę więcej mądrości. Ale w końcu wolność to także prawo do bycia głupim. Możesz głosować na głupią

partię, która wprowadzi głupie rządy, dlaczego nie? Mimo to uważam, że Polska to już normalny zachodni kraj. Kiedy walczyliśmy z komuną, nie wiedzieliśmy, że upadnie. Byliśmy wręcz pewni, że możemy co najwyżej nieco złagodzić jej postać. Nawet nie śniliśmy o takim obrocie sprawy. Byłem przekonany, że do końca życia będę gnił w sowieckim baraku.

Jak zapamiętał Pan Wrocław? Kojarzy mi się z Pomarańczową Alternatywą, a konkretniej jej założycielem, Waldemarem „Majorem” Fydrychem. Złapałem z nim kontakt i sam organizowałem podobne akcje. Przyjeżdżali nawet do nas, do Łodzi, z Wrocławia na „wizytacje”, żeby zobaczyć, jak sobie radzimy. Wrocław był słynny przede wszystkim ze wspaniałej organizacji podziemia. Związane z nim były takie chodzące legendy, jak Frasy-niuk czy Pinior. No i słynne pomarańczowe krasnoludki zostały rozpowszechnione na Łódź i Warszawę, a później

nawet na miasta takie, jak Gdańsk, Poznań czy Lublin. Myślę, że śmiało można mówić o ogólnokrajowej pomarańczowej rewolucji. Pamiętam, jak z okazji Festiwalu Sztuki Obecnej, happeningu z 1989 roku, zorganizowano wybory z hasłem „czerwony generał czy pomarańczowy major – wybór należy do ciebie” choćby przemawiać Fydrycha. Zagrałem wtedy koncert na Wyspie Słodowej, nielegalnie, a pojawiło się na nim około 10 tysięcy ludzi! Ale trzeba przyznać, że system już wtedy umierał, esbecy machali ręką i zajmowali się głównie obserwacją.

A mniej politycznie, jakieś miejsce zapadło Panu w pamięć? Chodząc po przejściu Świdnickim, pasażu Niepolda czy Rynku czuję się jak u siebie w Gdańsku. A może nawet, jak gdybym chodził w kapciach po własnym mieszkaniu. Nadal mam tu wielu przyjaciół i darzę Wrocław ogromną sympatią.